

Chudych literatów przypadki

1 lutego 2009

Co skłania społeczeństwo do przypomnienia o twórcach wyższej kultury? Rocznicą. Ewentualnie nagrodą, najlepiej międzynarodową. I – teczka.

Rewelacje z archiwów IPN, coraz słabiej fascynując szerszą publiczność, w pewnym wąskim obszarze dokonały cudu. Udało im się pogodzić światek literacki, który od dziesiątków lat rozdzierała święta wojna. Konkurowały tam ze sobą dwie organizacje zawodowe: jedna wysoce szanowana, a druga – wręcz przeciwnie. Zrodził je, skazując już w kolebce na wrogość do grobowej deski, stan wojenny. Tępy upór mundurowych i (może jeszcze straszniejszych) cywilnych aparaczków zderzył się wtedy z niewydarzonymi ambicjami politycznymi ludzi pióra. Od sierpnia do grudnia, Związek Literatów Polskich marzył o przewodzeniu ludowi, zrzeszonemu w „Solidarności”. Gdy „Solidarność” spacyfikowano, próbował ją zastąpić w roli rzecznika sprawy polskiej. Rozjuszyl tym wojskowych komisarzy, którzy tak długo straszili, że go zlikwidują, aż w końcu rzeczywiście to zrobili.

Aby udowodnić, że sytuacja się znormalizowała, trzeba było na miejsce ZLP powołać coś podobnego, choć nie takiego samego. Nowa struktura branżowa nosiła nazwę Związku Literatów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Starano się nią zaznaczyć – co należało do ówczesnego rytuału – że ekipa generała nie przekreśla wszystkiego, co istniało wcześniej, ale zarazem przypomina, iż nie żyjemy na księżycu, tylko w realnym państwie. Nieprzejednana opozycja natychmiast wezwała do bojkotu – jak go pogardliwie przezwano – „zlepu”. Choć swymi zdolnościami perswazyjnymi biła ona ludzi Jaruzelskiego na głowę, to przecież nie samymi symbolami żyje człowiek. Po swoim rozpędzonym poprzedniku, „zlep” przejął niemałą kasę, a razem z nią – ośrodki wypoczynkowe i stołówki. Żeby skorzystać z serwowanego tam menu, należało wypełnić deklarację

członkowską. Decydowało się na to coraz więcej byłych członków ZLP, rozglądając się co najwyżej, czy ktoś znajomy nie widzi. Prasa „reżimowa” odnotowywała z satysfakcją, iż do ZL PRL przystąpiło już 30, 50, a nawet 70% pisarzy.

Na Boga – odkrzykiwał się drugi obieg – co to za pisarze!? Jaruzelski może całymi ławicami chwytać płotki, ale przenigdy nie złowi sumów, jesiotrów i szczupaków. Faktycznie, literacka czołówka na ogół trzymała się z daleka od oficjalnych struktur branżowych, gardząc zapraszającymi do nich przynętami. Trudno zgadnąć, ile w tym było wiernej pamięci sierpniowego karnawału, a ile czegoś bardziej prozaicznego. W tamtych latach mecenat państwowy nad kulturą nie dysponował już monopolem. Narzędziami do rozstrzygania ostatniej fazy zimnej wojny, obok taktycznych lub strategicznych rakiet jądrowych, były książki dobijające moralnie radziecki komunizm. W rozgrywce między blokami przydawały się także biografie i osoby twórców. Zachodnie ośrodki opiniotwórcze chętnie pozyskiwały więc do występów w swoich drużynach, nie kłócąc się o wysokość kontraktów.

Wytrwałość bojkotujących „zlep” ostatecznie wynagrodził rok 1989. Poddając swój obóz, generałowie Jaruzelski i Kiszczak zatroszczyli się o bezpieczeństwo i komfort tylko dla siebie. Literatów, którzy niedawno pomagali im normalizować Polskę, nie pamiętali chociażby z nazwiska. Budżet ministerstwa kultury miały teraz rozdzielać zasłużone osobistości opozycji i „podziemia”. W schyłkowej PRL, środowisko literackie dzielono na szlachetnych elfów i materialnie zapobiegliwych, lecz – a raczej: właśnie dlatego – antypatycznych krasnoludów. Po zmianie ustroju, tym ostatnim zajrzała w oczy nie tylko infamia, ale i klęska głodowa. Za to elfów do cieszenia się swoimi urokami zapraszała realność tak duchowa, jak materialna.

Wspominanie szlaku bojowego i spożywanie owoców zwycięstwa miała literatom ze słusznej strony rozebranej barykady ułatwiać ich nareszcie niezależna i przyzwoita organizacja.

Jej – Stowarzyszenia Pisarzy Polskich – losy świadczą jednak, że wszystko, z walorami prestiżowymi włącznie, ma swój kres. Koryfeusze SPP byli systematycznie nękani przez młodszych pokoleniowo aspirantów do wdrapania się na okupowane przez nich cokoły. Ich grono osłabiły demaskacje stalinowskiej przeszłości, której posiadaniem w życiorysach zazwyczaj grzeszyło. A jego dobiciu posłużyły informacje IPN-owskie.

Postacią wzorcową z tego punktu widzenia był Andrzej Szczypiorski. Dziś pamięta się go niewiele lepiej niż Wincentego Pola. A jednak w początkach Rzeczypospolitej miarodajne media wspominały o nim z tak uroczystą powagą, że każdy głupi wiedział, iż nie ma do czynienia z pierwszym lepszym autorem kilku książek. Szczypiorski był uosobieniem platońskiej idei zawodu i powołania pisarskiego. Kiedy – czym się uwielbiał zajmować – obwieszczał z telewizyjnego okienka, że Tadeusz Mazowiecki, Jacek Kuroń, Adam Michnik i Leszek Balcerowicz mają rację, głowa się sama chyliła do pokornego ukłonu.

Zbankrutowani spadkobiercy PRL, skazani na podgryzanie autorytetów nowej Polski, przypominali wprawdzie, że Szczypiorski długo dorabiał sobie jako usługowy komentator radia i gazet. W upodobaniu do tego fachu zdecydowanie przesadził. Przed rokiem 1956 – oceniano w dobrym towarzystwie – wręcz wypadało przeżyć romans z komunistyczną utopią. Ale niewybredne wychwalanie tak siermiężnej postaci, jak Gomułka? I przepychanie się na pierwszy front gierkowskiej propagandy sukcesu? To może nie trup, ale na pewno – niemodny garnitur w szafie.

Gdyby reputacji Szczypiorskiego szkodziło tylko tyle, byłaby jeszcze do uratowania. Błędy z dawnych czasów bladły wobec korzyści, które zawsze wierny pisarz przez wielkie P niestrudzenie przynosił środowisku Unii Wolności. Szperacze archiwalni wykazali jednak, że Szczypiorski głęboko wsiąkł w układy z wiadomym resortem. Jego dorobku na tym polu nie dało się zbić formułkami, że coś tam podpisał, nie zdając sobie

sprawy, względnie rozmawiał nikomu nie szkodząc. Nasz literat, wykonując zlecenia służbowe, pełnił bowiem na przykład delikatne misje dyplomatyczne w kołach emigracji londyńskiej. Temida środowiskowej opinii nie zawsze bywa u nas nierychliwa. Wobec Szczypiorskiego i jego pamięci zadziałała jak gilotyna. Autora „Mszy za miasto Arras”, którego przez lata było pełno na wszystkich łamach, z dnia na dzień zaprzestano przywoływać i cytować. Wynikało to pewnie z brutalnie prostej kalkulacji. Złote myśli Szczypiorskiego o szowinizmie, populizmie, fundamentalizmie religijnym czy roszczeniowych frustratach łatwo zastąpić choćby aktualnymi felietonami Marka Beylina. A zachowując jego imię i oblicze na sztandarach, dawałoby się wrogom zbyt dogodną okazję do kontry.

Czy Szczypiorskiego słusznie zesłano na cmentarz niesławy? Powiem od razu, że – w moim przekonaniu – biografia artysty jest tylko ciągiem mniej lub bardziej sprzyjających okazji do tworzenia arcydzieł. Nie ma potrzeby odwoływać się tutaj do zbyt oczywistych przykładów Villona, Marlowe’a czy Geneta: geniuszy, którzy byli zarazem przestępcami, a nawet donosicielami. Trudno bowiem policzyć, ile występków plami sumienie tak z pozoru zrównoważonej postaci z Olimpu wielkiej sztuki, jak Goethe. Żony nie raczył on nawet pożegnać na łożu śmierci. Przedwczesne odejście syna skwitował – trochę, prawdę mówiąc, kabotyńską – notatką: Poprzez groby – naprzód! Ale to tylko przedsmak. Gdyby Goethe był człowiekiem mniej skupionym na sobie, a za to bardziej życzliwym, otwartym i pomocnym, ile w historii kultury mogłoby się zmienić. W takim wypadku, Hoelderlin uratowałby się może przed szaleństwem. Heinrich von Kleist ukończyłby – zapowiadającego się na największy dramat literatury niemieckiej – „Roberta Guiscarda”. Franz Schubert mógłby skomponować serię arcydzieł operowych, i tak dalej.

Z tych – i wszelkich innych – zbrodni usprawiedliwia Goethego jedna piosenka Mignon: „So lasst mich scheinen bis ich werde / Zieht mir das weisse Kleid nich aus / Ich eile von der schoenen Erde / Hinab In eines feste Haus”. Nie mówiąc już o

„Wilhelmie Meistrze”, „Powinowactwach z wyboru”, teorii barw, odkryciu kości międzyszcękowej, wymyśleniu prorośliny i „Fauście”, który jest ponad wszelkimi kalkulacjami zasług. A co ze Szczypiorskim? „Msza za miasto Arras” jest kalką zamęczonego w czasach PRL schematu „ukazywania doświadczeń totalitaryzmu przez pryzmat moralnego rozrachunku z historią”. Dzieło to przy tym wygodne, bo obrotowe. W gabinetach partyjnego wydziału kultury można było się nim chwalić, że bije w kler, a przy stoliku kawiarni literackiej – szeptać na ucho, że mowa w nim właściwie o Sowietach.

Dla Szczypiorskiego, który tak przemyślnie wzbił się do lotu, szczytem okazał się... „Początek”. W tej powieści, równie odkrywczej jak „Msza...”, Szczypiorski prawie pół wieku po okupacyjnych opowiadaniach Andrzejewskiego i kilka dekad po Gombrowiczu i jego „Pornografii” zakwestionował jednostronnie martyrologiczne przeżywanie wojny, którym zadręczali czytelników jego koledzy po piórze. Dopomógł mu międzynarodowy zbieg okoliczności. Identycznych przewartościowań oczekiwali Niemcy. Szczypiorskiemu zapewniło to wysokie nakłady i pewien rozgłos na tamtejszym rynku.

Nie uniknął on, niestety, zawrotu głowy od sukcesu. Chyba na serio uwierzył, iż jest Pisarzem. I co zobaczył z wyżyn, na których umieściła go rozdęta wyobraźnia (nie bez udziału po niemiecku sprawnej maszynerii reklamowej)? Pamiętam opinię Szczypiorskiego, że artysta musi tworzyć pod gust czytelnika. Jeżeli tego nie potrafi, to sam jest sobie winien. Może i tak. Ale – w takim razie – co go upoważniało do pouczenia i karcenia swych rodaków? Zgodnie z jego własną miarą, jako producent książek nie był nikim lepszym, ważniejszym ani mądrzejszym od fabrykanta kosmetyków czy fast-foodów.

Jeśli obrotność, którą wykazał się za życia, pozwoliła Szczypiorskiemu zapewnić sobie miejsce w niebie, to w przerwach między śpiewaniem z chórami anielskimi musi teraz śmiać się ostatni. – Potępiliście mnie? Nie chcieliście się do mnie przyznawać? I co to wam dało? Chodźcie do kompanii,

proszę pięknie – woła do kolegów, których trochę później poharatały takie same rozrachunkowe penetracje. A w czołówce SPP mało kto wychodzi z nich nietknięty.

Zabawne, że wspólna niedola pogodziła panów z pariasami. „Zlep” nie rozwiązał się ze wstydu na wieść o upadku państwowości, z którą się utożsamiał. Jedynie zmienił nazwę. Nietrudno chyba zgadnąć, że obecnie jest Związkiem Literatów Rzeczypospolitej Polskiej. Zostali przy nim ci, którzy się obawiali, że do SPP ich nie przyjmą. Innym, jeszcze liczniejszym było wszystko jedno, gdzie będą zabiegać o skromne wsparcie. W sumie całkiem spore zaplecze członkowskie zapewniło tuzom środowiska literatów prorządowych zachowanie gabinetów z telefonami, do których się przyzwyczaili. Od czasu do czasu mogli pojechać daleko pod Karkonosze, żeby – ogłosiwszy tam konkurs poetycki – pospiesznie ukonstytuować się w jury. Nadal funkcjonowali! Ciągłe coś od nich zależało... Bo w polskim pisarzu taka dusza, że choć mu ustrój umarł, obiema nogami rusza! A co dopiero – ręką wyciągniętą po wierszówkę?

O ile dziennikarze z rzadka zwrócą uwagę na „postzlepowskich” liderów, w ich życiorysach ciekawią ich plamy podobne tym, które tak zaszkodziły Szczypiorskiemu. – Ależ nie! – odpowiadają Krzysztof Gąsiorowski, Marek Wawrzekiewicz albo Leszek Żuliński. Nie będąc oszołomami, popieraliśmy Jaruzelskiego jako mniejsze zło. Żadną miarą jednak nie pomagaliśmy mu na odcinku bardziej tajnym. A gdyby coś takiego się zdarzyło, nikt by przez nas nie ucierpiał. Zepchnięci do narożnika, potrafiały tylko naśladować pozy obronne, które przybierali, gdy wiodło im się nieco lepiej. Obrona własnych wyborów z epoki PRL wymagałaby od nich podjęcia walki o dobre imię ówczesnego ustroju. Tymczasem ich stać było tylko na popiskiwanie, że nie wszystkie części świata w równomiernym tempie zmierzały do demokracji, że gdyby nie generał, to przyszedłby „krasnyj marszał”... A w takim wypadku, ich miejsce też by zajął ktoś gorszy. Nikt nie poniżyłby się, tak jak oni,

do zebrania u zwycięzców z SPP, żeby ich dopuszczono do wspólnego załatwiania spraw bytowych środowiska literackiego. A z jaką rozkoszą wbijali szpile wrogom liberalnych prominentów, licząc, że wysłużą tym sobie ich łaskę? Odpowiedzią, jaką uzyskiwali, były na ogół obelgi i kopniaki. Teraz nie ma to już większego znaczenia, gdyż bijący i bici opadają na to samo dno.

Ściąga ich tam, oczywiście, nie tylko i nie głównie IPN. Po zimnym prysznicu pierwszego etapu transformacji, okazało się, iż literatom w mało liczącym się z nimi kapitalizmie może wieść się lepiej niż za czasów socjalizmu, który podejmował się zapewnić im opiekę. Pod ważnym warunkiem: muszą oni zredukować się do formatu graczy o urządzenie się na rynku. Dlatego chyba zarówno ich winy, jak rachunki sumienia mają tak skromny wymiar.

Niektóre przypadki z tego obszaru zdumiewają. Roberta Stillera trudno od czasu do czasu nie wspominać ciepło jako tłumacza. Jego Brecht brzmi nieźle we wszystkich wymiarach: zdań protokolarnych („Nigdy nie byliśmy zaprzyjaźnieni / Jednakże obcowaliśmy ze sobą”), wulgaryzmów („Tylko nie patrz w oczy przy jebaniu / I skrzydeł mu nie połam draniu” z wiersza o uwodzeniu anioła) oraz wybuchów desperackiego liryzmu („Surabaya Johnny, czemu jest mi tak źle / Surabaya Johnny, a ja tak kocham cię!”). W Polsce, gdzie zagranicznych klasyków nierzadko tłumaczy się głównie w tym celu, żeby do nich zniechęcać, Stiller był sympatycznym wyjątkiem.

Dlaczego i on – jeśli wierzyć świeżej fali mikrosensacji – powędrował śladami Szczypiorskiego? Chyba się tego domyślam. Stiller był towarzyskim wojownikiem, mającym nieprawdopodobną ilość wrogów. Czyżby raportami o literatach sympatyzujących z KOR-em, które podobno płodził z wielką gorliwością, wyrównywał osobiste urazy? Byłoby to jakimś przyczynkiem do wcześniejszych uwag o małym formacie, który widocznie nie zaczął dolegać polskim ludziom kultury dziś czy nawet wczoraj.

Wszystko, co ostatnio trąbiono o drugim życiu Stillera, błędnie jednak wobec zapomnianego już niewątpliwego faktu. Ten tłumacz literatury pięknej kandydował do Sejmu, a może Senatu z list Unii Polityki Realnej. Nieprawdopodobne. Jeśli UPR ma rację, że – wyjąwszy totalitarne więzienia i obozy – nie ma innych więzi społecznych niż handlowe, to nie ma żadnego powodu, aby pewni ludzie łączyli się w zbiorowość wielbicieli przekładów poetyckich. A skoro sens to pieniądz, to możemy się doskonale obyć bez twórczości Brechta, Burgessa, Nabokova oraz innych literackich ulubieńców Stillera. Swoim politykowaniem podcinał on gałąź, na której siedział. Albo – jak kto woli – kręcił sobie sznur na szyję.

Obok czarnych owiec mamy przecież i nieposzlakowane autorytety? Cóż stąd, jeśli ich rady praktyczne są tyle samo – czyli nic – warte, co „transgresje”. Od Marii Janion, która z wielkim zapałem wieszczy o romantyzmie, dowiadujemy się od czasu do czasu – gdy ta uczona podpisuje list otwarty – że dobrego imienia Lecha Wałęsy i urzędniczego feudalizmu w nauce polskiej trzeba bronić tak, jak Hrabia Henryk strzegł Okopów Świętej Trójcy. Podejrzanie blisko jest z Kapitołu duchowych skarbów pod Tarpejską Skałą interesów żenującej klasy. Dzieli je tylko mały krok? A może i jego robić nie trzeba, gdyż są one jednym i tym samym?

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)